

Grzegorz Górny: Skończyć z kolonizacją chrześcijaństwa

W sytuacji konfliktu chrześcijanie często opowiadają się dziś za wskazaniami kultury dominującej, a nie za wymogami własnej religii. Najczęściej, tłumacząc swój wybór, bagatelizują jego wagę i zacierają ostrość. Ich argumentacja jako żywo przypomina podszytą kompleksem niższości retorykę przedstawicieli ludów skolonizowanych – pisze Grzegorz Górny.

Dziś mielibyśmy poważny problem, by nazwać kulturę dominującą w świecie zachodnim mianem chrześcijańskiej. Jest to kultura, którą można określić różnymi słowami: sekularna, liberalna, laicka, postoświeceniowa. Mniej ważna jest nazwa, zdecydowanie ważniejsza jej istota. Chodzi mianowicie o kulturę, która odrzuca niemal wszystkie istotne elementy nauczania chrześcijańskiego: istnienie osobowego Boga, wcielenie Syna Bożego, grzech pierworodny, zmartwychwstanie ciał, możliwość wiecznego potępienia itd. Kultura ta promuje zarazem taki styl życia, „jakby Boga nie było”.

Kultura rozumu sekularnego

Arnold Toynbee zwracał uwagę, że wszystkie cywilizacje, jakie powstały do tej pory w dziejach świata, zbudowane były wokół religii. Kultura obudowywała się wokół kultu. Czy jednak nasza cywilizacja, zwana

niekiedy zachodnią lub łacińską, zasługuje jeszcze na miano chrześcijańskiej?

Jan Paweł II zaproponował podczas swego pontyfikatu wprowadzenie czytelnego podziału: cywilizacja życia – cywilizacja śmierci. Gdyby zastosować ten schemat do krajów islamskich i tych zwanych chrześcijańskimi, to okazałoby się, że państwa muzułmańskie reprezentują cywilizację życia, natomiast zachodnie – cywilizację śmierci. Wystarczy przypomnieć, że podczas wielkich konferencji oenzetowskich niemal wszystkie rządy krajów europejskich i północnoamerykańskich opowiadały się za legalizacją aborcji i uznaniem jej za dopuszczalny sposób kontroli urodzeń. Z drugiej strony za ochroną życia nienarodzonych wystąpił wspólny front państw muzułmańskich oraz Stolica Apostolska. Ta postawa ma też odzwierciedlenie w prawodawstwie owych krajów – w sferze euroatlantyckiej aborcja jest niemal wszędzie legalna, zaś stopień jej społecznej akceptacji bardzo wysoki, natomiast na terenach islamskich pozostaje ona zabroniona.

Gdyby więc do naszego świata przyłożyć miarę, jaką jest szacunek dla życia, zwłaszcza tych najbardziej bezbronnych i niewinnych, wówczas okazałoby się, że współczesna cywilizacja zachodnia – jako cywilizacja śmierci – nie może być nazywana chrześcijańską. W jej centrum znajduje się kultura rozumu sekularnego. I to właśnie ona stała się dziś dominująca w Europie, Ameryce Północnej czy Australii – i to nie tylko wśród ludzi niewierzących, lecz także wśród tych, którzy sami siebie nazywają chrześcijanami i przez fakt chrztu są włączeni do Kościoła. Doszło więc do skolonizowania mentalności współczesnych chrześcijan przez kulturę laicką. Powszechnym zjawiskiem jest to, że chrześcijanie

myślą dziś o sobie i rozumieją samych siebie już nie w kategoriach swojej własnej religii, ale w kategoriach sekularnych, które pozostają obce ich tradycji.

Podam przykład dotyczący, jak sądzę, większości chrześcijan w jakimkolwiek kraju Europy. Otóż kiedy słyszą oni w mediach, że Kościół powinien coś zrobić, to niemal automatycznie pojawia się myśl, iż adresatami tej uwagi są biskupi i księża. Kościół bowiem to „oni” czyli duchowni, a nie „my”. Nie ma poczucia identyfikacji z Kościołem, który traktowany jest jako instytucja zewnętrzna. Tym samym chrześcijanie przejmują sekularny sposób widzenia, w którym religia jawi się jako rzeczywistość znajdująca obok ich życia.

Te same laickie kategorie myślenia obserwujemy, gdy czytamy, jak opisują współczesny Kościół nawet dziennikarze chrześcijańscy. Używają oni często określeń „liberalne skrzydło Kościoła” lub „frakcja konserwatywna w Kościele”, przenosząc do opisu chrześcijaństwa pojęcia zaczerpnięte z nowożytnej polityki.

Proces ten zaszedł tak daleko, że wielu chrześcijan nie ma dziś nawet pojęcia, iż myśląc o swojej własnej religii posługują się obcymi im kategoriami. Tam jednak, gdzie funkcjonują obok siebie dwie kultury oparte na radykalnie odmiennej antropologii, musi dochodzić do napięcia między nimi. Na przestrzeni wieków ludzie różnie radzili sobie z tego typu napięciami. Wydaje się, że dziś większość nominalnych chrześcijan w Europie przyjęła, często nieświadomie, strategię charakteryzującą plemiona podbite kulturowo. Lud Boży stał się ludem skolonizowanym.

Kompleks niższości

Kultura ludów skolonizowanych jest głęboko dualistyczna. Charakteryzuje się pęknięciem między kulturą własną, którą uważa się za gorszą, peryferyjną, anachroniczną, zaściankową, a kulturą dominującą, uznawaną za wyższą, bardziej prestiżową, dającą awans towarzyski i społeczny. W związku z tym w ludach skolonizowanych rodzi się kompleks niższości – wstydzimy się własnej kultury, z której nie do końca możemy się wyrwać, ale możemy przynajmniej ją zmieniać tak, by jak najbardziej upodobnić ją do kultury dominującej.

W tym momencie przypomina mi się historia, z którą zetknąłem się podczas pobytu na Białorusi. Dwóch białoruskich chłopów szło na piechotę ze wsi do miasta. Po drodze rozmawiali ze sobą po białorusku. W momencie, gdy tylko przekroczyli granice miasta, natychmiast przeszli na język rosyjski, chociaż do ich rozmowy nie przyłączyła się żadna nowa osoba. Pytani, dlaczego tak zrobili, odpowiedzieli: „po białorusku to my możemy sobie rozmawiać u siebie na wsi, a w mieście trzeba rozmawiać po miastowemu, to znaczy po rosyjsku”. Nic więc dziwnego, że w stolicy Białorusi – Mińsku mówi dziś na co dzień po białorusku zaledwie kilka procent mieszkańców.

I my, chrześcijanie, przypominamy tych białoruskich chłopów. Gdy wkraczamy w przestrzeń publiczną, porzucamy sposób myślenia i postępowania charakterystyczny dla naszej własnej religii i przejmujemy obce wzorce. Mało tego: wielu z nas jest z tego dumnych. Wielu europejskich czy amerykańskich polityków przechwala się, że zostawia swoje chrześcijaństwo, gdy tylko przekraczają próg urzędu, w

którym pracują. To właśnie przykład skolonizowanej mentalności chrześcijańskiej, przypominającej zrusyfikowanych chłopów białoruskich. Tego typu postawa, wypychająca religię ze sfery publicznej w prywatność, sprawia, że na Zachodzie przeważają co prawda ludzie, którzy nazywają się chrześcijanami, ale gdy przychodzi do realnego dawania świadectwa swojej wierze – pozostaje ich niewielu.

W sytuacji konfliktu chrześcijanie często opowiadają się dziś za wskazaniami kultury dominującej, a nie za wymogami własnej religii. Najczęściej, tłumacząc swój wybór, bagatelizują jego wagę i zacierają ostrość. Ich argumentacja jako żywo przypomina podszytą kompleksem niższości retorykę przedstawicieli ludów skolonizowanych. Kryje się za tym przyjęcie jako swoje obcego spojrzenia na własną tradycję, która jawi się jako niepełnowartościowa, drugorzędna, archaiczna. W takich sytuacjach ujawnia się zarazem brak oparcia w rodzimej argumentacji, symbolice i kodzie kulturowym.

Jednym z najczęstszych argumentów, mających usprawiedliwić defensywną postawę katolików w życiu publicznym, jest powtarzane przez wielu zastrzeżenie, że nie chcą narzucać swoich przekonań innym. Tym samym rezygnują jednak nie tyle z narzucania, ile w ogóle z prezentowania wiary oraz dawania jej świadectwa. Ta postawa potrafi być tak głęboko uwewnętrzniona, że blokuje wyrażanie wiary nie tylko w sferze publicznej, lecz nawet w życiu osobistym. Jeden z byłych liderów kontrkultury w Polsce opowiadał mi, że kiedy nawrócił się na katolicyzm, to miał duże opory, żeby sam u siebie w domu modlić się na kolanach, gdyż nawet przed sobą samym wstydził się takich gestów i uważał je za żenujące.

Moment sprawdzianu

Jeżeli sekularyzacja stanowi rodzaj mentalnej kolonizacji, warto prześledzić stosunek kolonizatorów do ludów podbitych. Niemiecki historyk Andreas Kappeler w swej pracy o Ukraińcach w imperium rosyjskim, wyróżniał trzy kategorie, w jakich Rosjanie opisywali etnos ukraiński: małorusów, mazepińców i chochłów. Małorusów hołubiono, gdyż byli lojalni wobec caratu i uważali się za część wielkiego narodu rosyjskiego, a ich ukraińskość ograniczała się do pewnego rodzaju lokalnego kolorytu. Mazepińców (czyli symbolicznych zwolenników hetmana Mazepy) nienawidzono, gdyż opowiadali się na niepodległość Ukrainy i występowali przeciwko imperialnym zakusom Wielkorusów. Chochłami natomiast gardzono jako nieświadomym chłopskim bydłem.

Analogiczny jest stosunek współczesnej kultury sekularnej do chrześcijaństwa. W roli małorusów występują tzw. chrześcijanie postępowi, którzy uznają dogmaty świata laickiego za swoje własne. Z tego powodu są akceptowani i chwaleni przez mainstream, a religia w ich wydaniu staje się tylko jednym z wielu folklorystycznych odcieni na pluralistycznym rynku idei (innymi słowy: chrześcijaństwo staje się jedną z wielu równorzędnych dróg do zbawienia, ani gorszą, ani lepszą od pozostałych). Odpowiednikami mazepińców są chrześcijanie integralni i ortodoksyjni, którzy nie dają narzucić sobie obcych wzorców myślenia i postępowania. Dlatego przeciwko nim kieruje się furia kolonizatorów, którzy wysuwają oskarżenia o fundamentalizm, nietolerancję czy ksenofobię. Chochłami są natomiast rzesze przeciętnych chrześcijan, traktowanych z poczuciem wyższości i politowaniem jako nieświadomione masy tkwiące w zabobonie.

Tymczasem sytuacja konfliktu pomiędzy wartościami chrześcijańskimi a laickimi jest zawsze momentem sprawdzianu. To chwila próby, w której człowiek w praktyce zmuszony jest do odpowiedzi na pytanie: „Która kultura jest wyższa? Której kulturze się podporządkujesz?” Przekładając to na język religii: „Któremu Panu służysz?”

Niech nie zwiodą nas pozory. To, co nazywamy dominującą kulturą laicką, jest w gruncie rzeczy propozycją religijną. Zwrócił na to uwagę Alasdair MacIntyre, który precyzyjnie wykazał, że myśl filozoficzna oświecenia ma tak naprawdę charakter quasi-religijny, jest teologią alternatywną wobec tradycji chrześcijańskiej. W tej wizji człowiek obdarzony jest prerogatywami przysługującymi samemu Bogu – to on ma moc tworzenia norm moralnych i orzekania, co jest dobre a co złe. Jego koniec nie ma już jednak nic z boskości. W perspektywie sekularnej przeznaczeniem tak wyniosłej istoty jak człowiek jest zgnieć w ziemi i stać się pokarmem dla robaków.

W chrześcijaństwie – w odróżnieniu od koncepcji laickich – człowiek akceptuje prawo natury, zachowuje pokorę wobec tajemnicy, nie uważa się za demiurga. Wierzy jednak, że jego przeznaczeniem jest wieczne szczęście i miłość bez końca.

Fakt, że tak wielu chrześcijan nie wie dziś, czym tak naprawdę jest chrześcijaństwo, to najbardziej wymowny dowód skolonizowania Kościoła. Chrześcijaństwo traktowane jest często jako rodzaj pewnego kodeksu moralnego, przestarzały system nakazów i zakazów etycznych, uzupełniony określonym sposobem przeżywania swojej duchowości.

Tymczasem w centrum chrześcijaństwa znajduje się zawsze osobowa relacja z Bogiem. Bez tej intymnej więzi łączącej nas z Chrystusem chrześcijaństwo zamienia się w jakąś karykaturę.

Enklawy poza entropią

Chrześcijanin w chwili próby pyta sam siebie: „Jak na moim miejscu postąpiłby Jezus Chrystus?” Czy Jezus mógłby zostawić swoją wiarę na zewnątrz z chwilą przestąpienia progu rzymskiego urzędu? Pierwsi chrześcijanie odpowiadali na to pytanie, oddając własne życie. Dzisiaj nikt nie wymaga w Europie od wyznawców Chrystusa takiej ofiary. Dziś nie boimy się wyroku śmierci, ale czyjegoś zmarszczenia brwi, uśmiešku pod nosem, drwiny kolegów, przygany szefa, krytyki w prasie.

Sądzę, że zadaniem chrześcijan na naszym kontynencie jest obecnie przede wszystkim zrzuć stan mentalnej kolonizacji i powrót do własnej samoświadomości. Potrzebujemy jednak nie tylko odbudowania europejskiego stylu myślenia – to zbyt mało – ale i odnowienia stylu życia. W tym kontekście wspomniany już Alasdair MacIntyre pisze o pewnych paralelach łączących nasze czasy z okresem schyłku cesarstwa rzymskiego:

„Punktem zwrotnym tamtej historii był moment, w którym ludzie dobrej woli zarzucili próby ocalenia imperium rzymskiego i przestali utożsamiać już obyczajowość i wspólnotę moralną z zachowaniem imperium. Zamiast tego postawili sobie – nie zawsze zdając sobie z tego w pełni sprawę – zadanie budowy nowych form wspólnoty, w

ramach której moralność i dobre obyczaje mogłyby przetrwać nadchodzące wieki barbarzyństwa i ciemnoty. Jeżeli moja interpretacja naszych warunków moralnych jest słuszna, należy także wyciągnąć wniosek, że my również już jakiś czas temu osiągnęliśmy podobny punkt zwrotny. Na obecnym etapie sprawą zasadniczą jest budowa lokalnych form wspólnotowych, w których możliwe byłoby zachowanie dobrych obyczajów oraz życia intelektualnego i moralnego w obliczu epoki nowego barbarzyństwa, które już nadchodzi (...) Tym razem jednak barbarzyńcy nie gromadzą się u naszych granic; oni od jakiegoś czasu już sprawują nad nami władzę. Fakt, że nie uświadamiamy sobie tego, stanowi element naszej skomplikowanej sytuacji. Nie czekamy na Godota, lecz na kogoś innego, na kolejnego – bez wątpienia bardzo odmiennego – świętego Benedykta”.

Wyrazem takiego podejścia ówczesnych chrześcijan była choćby teologia dziejów opracowana przez św. Augustyna w jego traktacie O Państwie Bożym. Bezpośrednim impulsem do napisania owego dzieła stały się wydarzenia, do których doszło 24 sierpnia 410 roku, gdy hordy Wizygotów pod wodzą Alaryka splądrowały Rzym. Miasto, uważane przez cały świat antyczny za niezwyciężone, niezdobyte od ośmiuset lat (od najazdu Gallów w 387 roku przed Chrystusem), zostało upokorzone przez urodzonego w delcie Dunaju kondotiera, który nie był nawet królem.

Dla obywateli Rzymu jakby zawalił się świat. Także wielu chrześcijan uległo tej apokaliptycznej wizji. Wówczas św. Augustyn postanowił dać chrześcijańską odpowiedź na wyzwanie ówczesnych czasów i napisał swe dzieło. Twierdził w nim, że dla wyznawcy Chrystusa podstawowym

punktem odniesienia powinien być Kościół, czyli Państwo Boże, a nie Rzym, czyli państwo ziemskie. Wiedział to już przed wiekami prorok Ozeasz, gdy wołał: „Asyria nie może nas zbawić”.

Podobnym zamysłem kierował się mnich Dionizjusz Mały, gdy w roku 525 po Chrystusie zaproponował nowy sposób odmierzania dziejów ludzkości. Od tej pory momentem zwrotnym w historii świata przestało być założenie Rzymu, a stało się narodzenie Jezusa. Było to wskazanie, że swego życia nie budujemy na kruchym fundamencie ludzkim, który jest zniszczalny, lecz na niewzruszonej i trwałej opoce, jaką jest Chrystus i Jego Mistyczne Ciało.

Podobną logiką kierował się św. Benedykt z Nursji. Założone przez niego wspólnoty benedyktyńskie przestały za swą moralną powinność uważać podtrzymywanie imperium. Swoje podstawowe zadanie zdefiniowali nie jako walkę o przetrwanie cywilizacji rzymskiej, lecz jako budowę społeczności chrześcijańskiej. W ten sposób nie tylko przenieśli wiarę w przyszłość i położyli fundamenty pod gmach chrześcijańskiej Europy, lecz także ocalili dla potomności to, co najcenniejsze w kulturze antycznej. A. MacIntyre uważa, że to właśnie dzięki nim przetrwała zarówno racjonalność, jak i moralne życie.

Myśląc o ówczesnych benedyktynach, często przykładamy do nich dzisiejszą miarę i wyobrażamy ich sobie jako samotników żyjących w zamkniętych klasztorach, szczelnie odgradzonych od świata. Nic bardziej mylnego. W zasięgu oddziaływania wspólnot benedyktyńskich znajdowały się okoliczne wsie i osady, które przyjmowały ich duchowość oraz zasady życiowe, wyrażone w lapidarnej dewizie ora et

labora. W ten sposób klasztory stawały się centrami lokalnej społeczności chrześcijańskiej, które z kolei jawiły się niczym wyspy ducha w morzu barbarzyństwa.

Cywilizacja chrześcijańska nie powstała na skutek dekretu władz, lecz wyłoniła się z dziejów poprzez świadectwo życia wielu pokoleń wyznawców Chrystusa, którzy tworzyli małe wspólnoty i promieniowali swoją wiarą na zewnątrz, przyciągając w ten sposób innych. Także dziś chrześcijanie powinni skupić się na tworzeniu takich enklaw poza entropią, na budowaniu Kościoła jako realnej społeczności, a nie ratowaniu cywilizacji europejskiej. Tak zrobili niegdyś benedyktyni i w ten sposób nie tylko przenieśli wiarę w przyszłe pokolenia, lecz także uratowali przed zalewem barbarii to, co najcenniejsze w cywilizacji rzymskiej. Jeśli chcemy uratować Europę, twórzmy Kościół. Bądźmy żywymi kamieniami tej świątyni. Budujmy sieć lokalnych wspólnot. Wracajmy do źródeł. Nie bójmy się.

Artykuł jest fragmentem książki *Teologia fundamentalna na straży tożsamości chrześcijaństwa*. Publikujemy za uprzejmą zgodą.

Grzegorz Górny – reporter, eseista, publicysta, reżyser, scenarzysta, producent filmowy i telewizyjny. Współautor i producent kilku cykli telewizyjnych, liczących łącznie ok. 250 odcinków, dla TVP1, TVP2, TVP Polonia, TVP Historia, TV Puls, Polsat. Reżyser i scenarzysta wielu filmów dokumentalnych (za „Śmierć na życzenie?” o eutanazji w Holandii otrzymał nagrodę Grand Press w 2004 roku). Założyciel i redaktor naczelny kwartalnika „Frona” (w latach 1994–2005 i 2007–2012). W latach 2005–2006 redaktor naczelny tygodnika „Ozon”. Autor ponad 30 książek, które doczekały się 22 wydań zagranicznych w

językach: angielskim (5 książki w USA), hiszpańskim, francuskim, niemieckim, węgierskim, chorwackim, bułgarskim. Laureat wielu nagród dziennikarskich, filmowych i książkowych. Odznaczony przez prezydenta Węgier Rycerskim Krzyżem Zasługi. Obecnie stały publicysta tygodnika „W Sieci” i portalu wpolityce.pl. Prowadzi Klub Trójki w Programie 3 PR.